Horace B. Fyfe

Morze płomieni

(Flamedown)

`

Analog Science Fact & Fiction August 1961
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Flamedown" by Horace B. Fyfe, published by Project Gutenberg, September 8, 2009 [EBook #29936]
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Analog Science Fact & Fiction August 1961. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed. "
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Charlie Holmes stracił kontakt z rzeczywistością, pośród zgrzytów dartego metalu i trzasków katastrofy, stłumionymi odgłosami rozchodzących się wokół niego. W fali agonii, pochłonęła go ciemność.

Nie był dokładnie pewien, kiedy dotarł do niego fakt, że może otworzyć oczy. Jakoś mgliście czuł – słowo „pamiętał", byłoby tu zbyt zdecydowane – że jego leżące na wznak ciało, było wielokrotnie popychane i przeciągane. Bez cienia wątpliwości, wydawało się to mu uzasadnione, ale on sam wzbraniał się przed bardziej wyraźnym przypomnieniem sobie tego, co musiało przecież być tak niezmiernie nieprzyjemne.

Potem delikatnie spróbował przesunąć głowę, parę cali w prawo, a następnie w lewo. Kiedy zabolało go to tylko w jednej dziesiątej tak bardzo, jak się obawiał, pozwolił sobie na otworzenie oczu.

— Wi-taj! — warknęło bulwiaste stworzenie, kucające koło posłania na którym leżał.

Charlie zamknął z powrotem oczy, szybko i bardzo mocno.

Coś szturchnęło go w ramię, wilgotnym, gąbczastym końcem – prawdopodobnie jedna z burgundowo-czerwonych macek, które dostrzegł przelotnie.

— Wi-taj! — upierał się przy swoim zgrzytliwy głos.

Charlie zerknął ukradkiem, został przyłapany na tym spojrzeniu i z rezygnacją otworzył oczy.

— Gdzie ja jestem? — spytał.

Zabrzmiało to bardzo stereotypowo, nawet dla jego skołowanego ucha. Całe partie wiszącej przed jego twarzą ciemno-czerwonej skóry, szczególnie na beczułkowatym brzuchu, zatrzęsły się w rytm mowy stworzenia.

— Z pewnością — zazgrzytał ten niesamowity głos, — coś pamiętasz?

— Katastrofa! — wysapał Charlie, gwałtownie się prostując.

Wstrzymał oddech, oczekując na przeszywający ból, który wydawał mu się jakiś naturalny. Kiedy nic nie poczuł, ostrożnie obmacał sobie palcami żebra, a potem straszna myśl skłoniła go, aby poruszać gołymi palcami u nóg. Zdaje się, że wszystko jest na swoim miejscu.

Leżał w niewielkim pomieszczeniu, na cienkim posłaniu z futer. Podłoga i ściany zrobione były z tłustej gliny w kolorze ochry, odbijającej jasne światło wlewające się z zewnątrz przez szerokie wejście.

— Co to za piachy? — zaczął się dopytywać, ze zmrużonymi oczyma wpatrując się w fale gorąca napływające z dworu.

— Nie poznajesz ich? Popatrz jeszcze raz, Ziemianinie!

Ziemianinie! Pomyślał sobie Charlie. *On musi być rzeczywisty: Ciągle go widzę. Nieźle musiałem walnąć się w główkę*!

— Coś cię boli? — spytało ze współczuciem stworzenie.

— Och… nie. Tylko… nie mogę sobie przypomnieć. Katastrofa… a potem…

— Ach, tak. Przez pewien czas byłeś nieprzytomny. — Jego czerwonawy gospodarz zafalował w górę, stając mniej więcej w wyprostowanej pozycji na trzech cienkich mackach. — Nawet przy naszej pomocy, pamięć po wstrząsie wraca powoli. No i musisz być zdeprymowany przez tę mniejszą siłę ciężkości.

Mniejsza siła ciężkości! Zastanowił się Charlie. *To może znaczyć jedynie – MARS! No pewnie! To musi być to – pilotowałem rakietę i rozbiłem się gdzieś na Marsie*.

Wszystko to pasowało do siebie. Stwierdził, że reszta pamięci też pewnie mu powróci.

— Czy dasz radę wstać? — spytał obcy, wyciągając pomocną mackę.

Ziemianinowi udało się podciągnąć i stanąć sztywno na nogach.

— Posłuchaj, nazywam się Holmes — przedstawił się oszołomiony.

— A ja, Kho Theki. W twoim języku, którego nauczyłem się wiele lat temu od innego pilota, znaczy to „Ognisty Kanalarz".

— To musi być Mars — wymamrotał Charlie pod nosem. — Co za bagno. Kiedy mi pokażesz, co zostało ze statku?

— Nie będzie na to czasu — odparł Marsjanin.

Całe gromady niewielkich mięśni wykrzywiły się tu i tam, na jego okrągłej pulchnej głowie. Charlie zaczął się już przyzwyczajać do jego pojedynczego oka, wielkości połowy pomarańczy i zbliżonym do niej kolorze. Przy odrobinie wyobraźni, otaczające je różne wyrostki i organy, można było uznać za twarz.

— Kapłanki sprowadzą tu tłum — przewidująco stwierdził Kho. — Wiedzą, że mam Ziemianina i, obawiam się, że skończyły już z innymi.

— Skończyły – co? — dopytywał się natarczywie Ziemianin, mocno potrząsając głową, w nadziei otrzeźwienia na tyle, aby połapać się, co tu jest nie tak.

— To był bardzo suchy czas — Kho zmarszczył macki, zwinnie przesunął się do wejścia i wyjrzał na zewnątrz, przyjmując groteskowo ukradkową postawę. — Ludzie popadają w szaleństwo przez tę suszę. Podniosły się głosy, żeby złożyć cię w ofierze Bogom Kanałów, tak samo jak i innych, którzy przeżyli.

— Bogom Kanałów — zaskrzeczał Charlie. — To nie może być prawda! Przecież macie tutaj jakąś cywilizację! Nie mogę być jedynym Ziemianinem, jakiego widzieliście!

— To prawda, że w większości przypadków, Ziemianie byli tutaj absolutnie bezpieczni.

— Ale przecież prawo! Ziemski konsul…

Kho strzelił końcem macki w jego stronę.

— Kanały są nisko. Sam przecież czujesz gorąco i suchość. Ludzie są rozpaleni świątynnymi proroctwami. I wtedy, twój statek spada z niebios, cały w płomieniach…

Strzelił końcówkami wszystkich macek jednocześnie.

Dobiegający gdzieś z zewnątrz groźny pomruk, stał się już wyraźnie słyszalny. Była to obrzydliwa mieszanina rozdzierających wrzasków i ostrego skandowania, przerywanego dźwiękami mosiężnych gongów. Kiedy Charlie nasłuchiwał, jego głośność wyraźnie wzrosła.

Kho wyciągnął jedną mackę i owinął ją na sześć cali, wokół nadgarstka Ziemianina. Kiedy zanurkował w otwór wejściowy, Charlie chcąc-niechcąc musiał ruszyć za nim.

Przemykając się wokół narożnika chaty, miał czas, aby rzucić szybkie spojrzenie na skandujących. Już sam Kho wyglądał dziwnie obco. Ale dwie setki jemu podobnych…!

Mrowie tubylców, prowadzone przez kilkanaście postaci w powłóczystych szatach, zamaskowanych i obwieszonych mosiądzem, zmierzało przez piaski w stronę uciekinierów. Widać było, że już wcześniej byli bardzo zajęci. Nad odległym skupiskiem niskich budynków, sugestywnie biła w górę kłębiasta kolumna dymu.

Kho poprowadził ich pełnym galopem przez grzbiet wzgórza z piaskowca, a następnie długim zboczem, w stronę czegoś, co wyglądało jak skrzyżowanie dwóch wąwozów.

— Kanał — wyrzęził z wysiłkiem. — Przy odrobinie szczęścia, może uda nam się znaleźć jakąś łódź.

Rozległ się szaleńczy wrzask, kiedy tłum dotarł na wierzchołek wzgórza i znowu ich zobaczył. Charlie, próbując z najwyższym trudem łapać oddech w rozrzedzonym powietrzu, jednocześnie usiłował wyszarpnąć nadgarstek z uścisku. Teraz, kiedy zbiegli w dół zbocza, zobaczył gdzie jest woda. Ześlizgnęli się czterostopowym skokiem, w chmurze drobnego, duszącego pyłu i stanęli przed kilkoma płaskodennymi łodziami, leżącymi na rozciągającej się przed nimi, płaskiej łasze błota. Woda była pięćdziesiąt stóp dalej.

— Powinniśmy pobiec wzdłuż brzegu — stwierdził Kho. — Ale może uda nam się przez to przebrnąć.

Z rozpędu udało im się zrobić kilka kroków w głąb błocka, zanim Charlie zrozumiał jaki to był błąd. Wtedy bowiem, gdy próbowali się wygrzebać, żeby odzyskać grunt pod nogami, stało się oczywiste, że nie uda im się tego zrobić na czas.

— Złapią nas — warknął Kho.

Wyjący tłum był już zaledwie sto jardów od nich. Nad czerwonawymi pustynnymi piaskami unosiły się fale migocącego gorącego powietrza, że aż biegnący Marsjanie zaczęli się rozmywać przed rozpalonymi oczyma Charliego. Jego nogi ubiły błoto na krępującą masę i poczuł się, jakby uciekał w jakimś koszmarze sennym.

— Przykro mi, że ciebie w to wszystko wciągnąłem — wydyszał.

— To nieważne. Robię to, co muszę.

Ziemianin otarł pot z oczu grzbietem zabłoconej dłoni.

— To wszystko jest jakoś nie tak — wymamrotał pod nosem. — Nadal nie mogę sobie przypomnieć katastrofy statku. Dlaczego zachciało mi się być pilotem rakietowym? No cóż… jak sobie pościelisz…

Zbliżające się postaci falowały i rozmazywały się w gorącu. Kho wydał z siebie zgrzytliwy odgłos, przypominający ziemski chichot.

— Tak jak wy wszyscy, śmiertelnicy – którzy w końcu musicie spocząć na swym łożu — wychrypiał. — Powiem ci już teraz, ponieważ i tak będę w stanie ciągnąć ten epizod jeszcze tylko parę chwil. Nigdy nie byłeś pilotem statku kosmicznego.

Charlie spoglądał na niego z rozdziawionymi ustami.

— Ty… ty… a co z tym wrakiem, o którym mówiłeś?

— Charlesie Holmes, to ciężarówka cię uderzyła. Trzeba nie mieć zdrowego rozsądku, żeby przechodzić przez jezdnię z nosem utkwionym w czasopiśmie, które właśnie się przed chwilą kupiło, na rogu ulicy.

Z jakimś tępym, pełznącym, na wpół oderwanym od jego woli, stanem umysłu, Charlie zauważył, że biegnące postaci nadal unoszą się nad piaskiem, ale nie zbliżają się już do nich.

— Czy to znaczy… Czy chciałeś powiedzieć, że ja u-u-u… ?

— Oczywiście, że tak — przyjaźnie zazgrzytał Kho. — I w świetle pewnych działań, jakie podejmowałeś w czasie swojego życia, obecnie rozpoczyna się dosyć długi okres – nazwijmy to – próby. Kiedy przydzielono mi ciebie, twoje nawyki czytelnicze zasugerowały mi zajmujący zestaw różnych odmiennych epizodów. Nie wiesz nawet jakie to nudne, gdy musisz cierpieć te same stare koszmary!

— Zajmujący? — powtórzył Charlie, nie przejmując się piskliwymi tonami w swoim głosie.

Tłum rozpuszczał się w chmurę dymu, a horyzont wyraźnie się kurczył.

Sam Kho zmieniał się w stworzenie o czerwonawej skórze, ale wyposażone w normalną liczbę członków, nie licząc kolczastego ogona. Nieustanne gorąco „pustyni", zaczęło w końcu stawać się zrozumiałe.

— Dla mnie to naprawdę ogromna rozrywka — uśmiechnął się Kho, ukazując ohydne kły. — Następnym razem, będę Wenusjaninem. Oczywiście znowu przegrasz. Potem możemy odwiedzać kolejne planety różnych gwiazd… och, zobaczymy całe mnóstwo jednych i drugich!

Z uciechą zaczął polerować szponiastym palcem jeden ze swoich rogów.

— Dla ciebie, to nie będzie takie zabawne — obiecał.

KONIEC